

Konrad Turzyński

"Pozyskiwanie niegodziwą mamoną"



"Opcja na Prawo", nr 4(88) z kwietnia 2009 r., str. 19-21

<<http://www.opcjanaprawo.pl/index.php/2013/item/571-pozyskiwanie-niegodziwą-mamoną>>

Może to tylko instynkt stadny?

Doniesienia o krachu który rozpoczął się od tego, że pół roku temu pewne wielkie instytucje finansowe w USA znalazły się na krawędzi upadłości, skłaniają ku zastanowieniu się jeszcze raz nad przyczynami tego rodzaju zjawisk. Gdy w ciągu miesiąca lub roku bankrutuje wiele małych i mało komu znanych przedsiębiorstw, piszą o tym gazety, ale co najwyżej lokalne. Gdy to dotyczy kilku gigantów — jest sensacja na pierwsze strony gazet (i nowy emocjonujący temat dla wypowiedzi polityków) w różnych krajach. Powinniśmy zapewne brać tu poprawkę na psychologiczne złudzenie, które rozróżnia między rzadszymi nieszczęściami wielkimi a częstszymi — o niewielkiej skali.

Co właściwie dzieje się, gdy firma upada? Gdy upada z powodu niezdolności do spłacenia swoich długów, przejmuje ją wierzyciel (albo wierzyciele), nieraz bywa nim bank. Gdy konkurencyjna firma przez podstawionych ludzi skupuje na giełdzie jej akcje, może dojść do tzw. "wrogiego przejęcia". Nazwa firmy zmienia się lub nie, ale właścicielem (jedynym albo głównym — posiadaczem tzw. kontrolnego pakietu akcji) staje się inny podmiot gospodarczy. Dość często temu towarzyszy pozbawienie zatrudnienia części dotychczasowych pracowników. Wrażenie wywołane tym również podlega owemu złudzeniu, o którym była mowa wyżej.

Nieraz się zdarza, że bankructwo albo stan jemu bliski są poprzedzane (i powodowane) tym, że akcje danej firmy tracą na wartości w obrocie giełdowym. Działa tu jeszcze jedna przypadłość ludzkiej psychiki: instynkt stadny. Gdy widać początek spadku wartości, nawet nieznaczny, może (choć nie musi) to sprawiać taki skutek, że akcjonariusze wolą pozbywać się posiadanych udziałów. Nie tylko ci wielcy i słynni, ale także anonimowi tzw. drobni ciułacze. Cóż jednak oznacza sprzedaż akcji? Ktoś sprzedaje komuś innemu, który (jeszcze) nie lęka się posiadać ani nabywać akcji danej spółki, albo nawet liczy na to, że teraz kupuje tanio, ale później sprzeda je drożej. Czyli tu również nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Po prostu firma — wolniej albo szybciej — zmienia grono swoich współwłaścicieli.

Dopiero, gdy instynkt stadny przeważa, gdy spadek wartości akcji staje się gwałtowny, akcjonariusze — wielcy i mali — okazuje się zrównanymi w ubóstwie i popadają w rozpacz — wszyscy mamy w pamięci podręcznikowe albo np. filmowe opisy fali samobójstw podczas tzw. wielkiego kryzysu zapoczątkowanego słynnym "czarnym wtorkiem" (29 października 1929 r.), kiedy to wybuchła panika giełdowa na Wall Street w Nowym Jorku. Od tej pory to uchodzi za wzorzec kryzysu ekonomicznego. Tak naprawdę powinien nim być kryzys nie sprzed 80 lat, lecz inny, o 104 lata wcześniejszy, który dotknął gospodarkę brytyjską. No, ale w 1929 r. była już nie tylko prasa, lecz także elektroniczne środki łączności i masowego przekazu, dlatego wszystko było bardziej widowiskowe.

Dzisiaj wiadomo, że **kryzysy ekonomiczne to zjawisko powtarzalne**, są po prostu fazami cykli ekonomicznych. Niektóre próby objaśniania ich odwoływały się w XIX w. do rytmów aktywności słonecznej. Może coś w tym jest, fachowcy od gospodarki powinni wiedzieć lepiej ode mnie.

Jak "apetyt rośnie w miarę jedzenia"

Wszystkie firmy zależą od banków. Gdy więc kłopoty dotyczą banków (tak jak w najnowszym przykładzie — upadłość Lehman Brothers), może to odcisnąć się na znacznej części gospodarki. Jednak oprócz: klęski nieurodzaju, "klęski urodzaju", innych kataklizmów przyrodniczych, oprócz wojen i "psychologii tłumu" istnieje jeszcze jeden czynnik, mogący powodować kłopoty w bankach. Jest nim... pojęcie matematyczne, które nazywa się "funkcja wykładnicza" (funkcje wykładnicze opisują np. zmienną szybkość takich zjawisk jak rozpad promieniotwórczy — w przypadku funkcji malejącej, albo reakcja łańcuchowa — w przypadku funkcji rosnącej). Autor pewnego popularno-naukowego artykułu (Michał Szurek, **"Znów o inflacji"**, **"Młody Technik"** ze stycznia 1995 r., str. 42-43) objaśnił, jak to inflacja bywa pretekstem — tak, pretekstem! — do wyzyskiwania kredytobiorców przez banki, poprzez wmawianie, że obsługa kredytu jest dla kredytobiorcy bardzo korzystna. Mało kto bowiem rozumie zawiłości matematyczne, a chodzi mianowicie o tzw. **procent składany**. Odsetki narastające z biegiem czasu są doliczane do kapitału początkowego, dzięki czemu łączna ilość pieniędzy, jakie bank otrzymuje od swojego dłużnika, nie wzrasta proporcjonalnie do czasu (odsetki = kwota pożyczona $\times$ stopa procentowa $\times$ czas; to wzór tylko na tzw. **procent prosty**), lecz znacznie szybciej. Jeśli stopa procentowa wynosi np. 5% rocznie, to liczbę 105% czyli 1,05 podnosi się do potęgi o wykładniku, wyrażającym czas mierzony w latach, i dopiero wynik tego potęgowania

mnoży się przez wielkość pożyczki, co daje łączną sumę wpływającą od dłużnika do banku (kapitał + odsetki). Poznałem wzór na "procent składany" bynajmniej nie jako uczeń ani potem jako student matematyki, lecz... zapamiętałem go z lektury *"Kalendarza uczniowskiego"*, wydanego w **Polsce Ludowej** na samym początku lat pięćdziesiątych. Gdy czas nie wyraża się liczbą całkowitą lecz "z przecinkiem", to obliczenie wartości potęgi o takim wykładniku wymaga posłużenia się komputerem, a przynajmniej dobrym kalkulatorem. Dostyc powszechna jest zatem sprzyjająca bankom niewiedza ich klientów: dłużników i wierzycieli. Banki bowiem — wszystkie — żyją z różnicy między wyższymi odsetkami, które pobierają od swoich dłużników, a niższymi, które wypłacają swym wierzycielom. Gdy owe odsetki narastają w tempie wykładniczym, to samo dzieje się z ową różnicą czyli dochodem banków.

Michał Szurek przytoczył na koniec opowieść o Indianach, którzy w 1624 roku za paciorki warte **24 dolary** sprzedali Błędym Twarzom wyspę Manhattan. Biorąc przykładowo pod uwagę stopę procentową w wysokości 5% w stosunku rocznym autor pokazał, że gdyby złożyli wtedy 24 dolary do banku, to w okresie od 1624 r. do 1995 r. ich kapitał urósłby do wielkości — uwaga! — **1.743.577.261 dolarów i 65 centów**. Najważniejsza u Michała Szurka jest pointa: *"Zanim jednak zaczniemy wieszać psy na naszych praprzodkach, którym nie chciało się zainwestować grosika, by stworzyć nam dobrobyt, pomyślimy, że to tylko na papierze wygląda tak ładnie. Właśnie z powodu własności funkcji wykładniczej systemy bankowe muszą od czasu do czasu zrobić plajtę, a inflacja jest matematycznie nieuchronna."* (wyróżnienie moje — K.T.). Istnieje przysłowie, mające przestrzegać przed iluzjami **Socjalizmu**, które brzmi: *"nie ma czegoś takiego jak darmowy obiad"*. Kiedy go dostaję, to znaczy że zapłacił zań ktoś inny; jeśli zapłaciło państwo, to zapłaciliśmy lub zapłacimy my wszyscy, podatnicy. Zupełnie tak samo **nie istnieje czarodziejski dzbanek**, do którego wystarczy włożyć jednego dukata, aby móc potem go wyjąć, wydać, a następnie sięgnąć do dzbanka, znowu znaleźć tam dukata — i tak dalej. Niestety, *"to tylko na papierze wygląda tak ładnie"*: a mianowicie w baśniach, gdzie jest mowa o takich dzbankach. Czarodziejskich dzbanków nie ma — zupełnie tak samo, jak nie ma **perpetuum mobile**.

Dlatego "grosik" złożony przez przodka "na procent" nie musi dać potomkowi fortuny, nawet nie może jej dać, a to z powodu plajt, które w bankach **MUSZĄ** co jakiś czas się zdarzać, dopóki będzie istniało złudzenie "cudownego rozmnożenia pieniędzy" za pomocą "procentu składanego". Źródło **bankructw bankowych** leży w **LICHWIE**, opartej o zachłanność rosnącą tak szybko, jak funkcja wykładnicza. **Dopóki nie odstępimy od stosowania "procentu składanego", ten rodzaj kryzysów będzie powracał niezawodnie jak zaćmienia Słońca i Księżyca.** Jest to jeden z jaskrawych i powszechnie znanych przykładów tworzenia sztucznego bogactwa. Właśnie z powodu jego sztuczności dokonują się owe plajty, gdy niezgodność stanu zapisanego na papierze ze stanem faktycznym nie daje się już dalej ukrywać.

Jak w Polsce, a jak w Ameryce?

W dniu 25 września 2008 r. Partia Demokratyczna i Partia Republikańska miały jakoby wstępnie uzgodnić przyznanie *"pakietu pomocy dla sektora bankowego w wysokości 700 miliardów dolarów"* (Marek Wałkuski, *"USA kryzys brak porozumienia"*, <http://waluty.com.pl/a39520-iar_usa_kryzys_brak_porozumienia.html>), co jednak wkrótce potem przepadło w głosowaniu w Kongresie. Ów tzw. "plan Paulsona" liczył jednak w pierwotnej wersji zaledwie 3 stronie maszynopisu i dlatego był zbyt przejrzysty dla przeciętnego wyborcy, toteż nie dziwota, iż niewielu amerykańskich kongresmanów odważyło się poprzeć taki projekt ustawy. Zgodnie jednak z Chestertonowską radą, że najlepszym sposobem ukrycia liścia jest umieszczenie go w lesie (który w razie potrzeby należy dopiero zasadzić!), w ciągu kilku dni wydłużono projekt 150-krotnie (!), bowiem aż do 451 stronic: <<http://biznes.interia.pl/prasa/parkiet/news/znacznie-poprawiona-wersja-planu-paulsona-wraca-dzisiaj.1188496,3412>>. **Tu już przejrzystości nie ma i być nie może: mowa nie o 451 artykułach, lecz o 451 stronicach tekstu!** Toteż tym razem wystarczająco wielu — dla uzyskania

większości w Kongresie — parlamentarzystów zdobyło się na odwagę (wobec swych wyborców) i poparło projekt ustawy, legalizującej plan Paulsona.

Bogini "Transparency" ustąpiła na rzecz bogini "Democracy". Rywalizacja Republikańskie : Demokraci nie odegrała roli — jedni i drudzy głosowali rozmaicie, ale większość ubierała Porozumienie Ponad Podziałem (między nimi). Nikt nie przejmował się ideałem Monteskiuszowego rozdziału władz: decyzję WYKONAWCZĄ podjęto w organie władzy PRAWODAWCZEJ.

Coś nie zmieniło się w ferworze wydłużania ustawy: nadal jest mowa tam o 700 miliardach dolarów. Po podzieleniu przez liczbę ludności USA (ok. 300 mln osób) wynosi to dwa i jedną trzecią tysiąca dolarów na jednego Amerykanina! Jesienią 1993 i wiosną 1994 r. w Polsce przeznaczono z pieniędzy publicznych 56 bilionów starych złotych na ratowanie Banku Gospodarki Żywnościowej przed upadłością (Tomasz Sakiewicz, *"Żarłoczny BGŻ"*, *"Gazeta Polska"* z 14 lipca 1994 r.), co po podzieleniu przez ówczesną ludność Polski (38,6 mln) i przy uwzględnieniu ówczesnego przelicznika walutowego (1 USD = 23000 PLZ) wyniosło zaledwie ok. 63 dolarów amerykańskich na jednego mieszkańca naszego kraju. Czyżby zatem Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, ta (domniemana) ostoja Kapitalizmu, "potrzebowały" **Socjalizmu** jeszcze więcej niż **Rzeczpospolita Polska Transformowana**? Aż strach pomyśleć! Wcześniej czy później jednak zasłanianie prawdy za pomocą mnożenia słów przestanie skutkować.

Podobne rzeczy dzieją się bliżej nas: bank Fortis bardzo niedawno otrzymał zapomogę od rządów trzech krajów Beneluksu. Jednak stoczni (w Polsce) dotować "nie wolno" (o czym świadczy ubiegłoroczna decyzja **Komisji Europejskiej**), ale rolnictwo "wolno", nawet systematycznie (przy tym korzystniej na zachodzie **Unii**, aniżeli w krajach niedawno do **UE** przyjętych), a banki — doraźnie — może nawet "trzeba"?

Gdy jakiś czas temu złoty był znacznie silniejszy (niż teraz) w stosunku do innych walut, można było słyszeć w Polsce lament z powodu tego, że to utrudnia zyski polskim eksporterom. Gdy ostatnio jest odwrotnie, nie słychać głosów zadowolenia (a przynajmniej ulgi) ze strony tych, którzy żyją z produkcji na eksport, a tylko narzekania ze strony innych, których dochody są osłabione, gdyż importując muszą więcej (w polskiej walucie) wydawać, niż wydawali przed spadkiem wartości złotego. Czyżby tu się przejawiała "niewidzialna ręka"... Psuja, która powodowała, że gdy na świecie drożała ropa naftowa, to w Polsce były podwyżki paliw płynnych, ale gdy ropa taniała, niekoniecznie następowały w ślad za tym obniżki cen w polskich stacjach benzynowych? Trudno bowiem uwierzyć, aby ludziska wciąż nie rozumieli, iż kiedy np. rząd ustanawia cło na odzież z importu, to płaczą właścicielki lumpeksów, a śmieją się krajowe włóknianki, zaś kiedy rząd znosi to cło, to dzieje się odwrotnie. **Nie da się zrobić tak, aby jednemu przybyło, ale nikomu innemu z TEGO SAMEGO powodu NIE ubyło. Chyba, że się jest Jezusem Chrystusem i dokonuje się zamiany wody w wino albo rozmnożenia chleba i ryb.** To jednak nie leży w mocy zwykłych śmiertelników. Tak bowiem Opatrzność urządziła świat, że prawo zachowania masy (i energii) jest regułą, zaś cuda to rzadkie wyjątki od niej.

Tymczasem dowiadujemy się, że stosunkowo niedawno amerykański kongresman polskiego pochodzenia, Paul Kanjorski (Demokrata), szef podkomisji Komisji Rynków Kapitałowych, ujawnił, iż: *"11 września 2008 r. około godz. 11.00 amerykański System Rezerwy Federalnej odnotował dramatyczny odpływ pieniędzy z kont rynku pieniężnego na kwotę 550 mld dolarów [...] Pieniądze zostały wyciągnięte z konta w ciągu godziny albo dwóch. Skarb Państwa wpompował do systemu 105 mld dolarów [...] System Rezerwy Federalnej USA (FED) szybko zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z elektronicznym nalotem na banki. [...] wtedy właśnie zdecydowano o zamknięciu operacji, zablokowaniu dostępu do kont i zagwarantowaniu 250 mld dolarów, [...] jak wyliczyli analitycy FED, gdyby działania te nie zostały podjęte, do godziny 14.00 z systemu finansowego Stanów Zjednoczonych zostałoby wyciągniętych 5,5 biliona dolarów. — Doprowadziłoby to do*

upadku gospodarki USA, a w ciągu 24 godzin padłaby cała światowa gospodarka." (Anna Wiejak, **"Skok na FED"**, **"Nasz Dziennik"** nr 49(3370) z 27 lutego 2009, str. 9, http://stary.naszdziennik.pl/bpl_index.php?dat=20090227&typ=sw&id=swll.txt). Autorka daje do zrozumienia, że informacje podane przez Kanjorskiego są mało prawdopodobne (trudno odpędzić myśl, że zarówno pamiętny zamach terrorystyczny z 11 września 2001 r., jak też późniejszy o dokładnie 7 lat nalot na banki amerykańskie zdarzyły się w dniach rocznic urodzenia Feliksa Dzierżyńskiego, założyciela **sowieckiej bezpieki**...). Wydaje się jednak, że to raczej ci, którzy wsparli plan Paulsona, mogliby czuć się zainteresowani w rozsiewaniu takich wątpliwości, gdyby bowiem było tak, jak mówił Kanjorski, to cały ów plan Paulsona — przynajmniej częściowo — traciłby sens.

A może zatem jednak miał rację prof. Iwo Pogonowski, gdy na temat FED pisał 28 lutego 2009 roku, że: *"Jest to stosowanie **socjalizmu** jako narzędzia elity finansowej, według Allen'a. Uważa on, że **socjalistyczny** system służy do narzucania władzy przez elitę finansową. [...] Międzynarodowa elita bankierów nie chce konkurencji i chce rządzić za pomocą karteli oraz monopolu. Wielkim zwycięstwem tej elity było stworzenie w 1913 roku niby centralnego państwowego banku, który w rzeczywistości jest organizacją banków prywatnych i nosi mylącą nazwę Federal Reserve System — faktycznie prywatnego łańcucha banków pod tą nazwą. Federal Reserve System, jest organizacją, która kontroluje bankowość w USA, jak też politykę monetarną tego państwa oraz prowadzi politykę inflacji, idealnie 3%, jako gwarancję przed deflacją, w której ludzie spodziewają się coraz niższych cen i odkładają zakupy, co powoduje zastój gospodarczy. Tymczasem chodzi o ściąganie oprocentowania gigantycznych długów państwowych."* (Iwo Cyprian Pogonowski, **"Badania struktury władzy w USA"**, http://www.pogonowski.com/display_pl.php?textid=944)? Takie rozwiązanie ma swoje wady i zalety; na polskim gruncie właśnie ustanowienie prywatnego banku jako banku emisyjnego (co było jednym z ważnych składników reformy walutowej min. Grabskiego z 1924 roku) ujawniło zalety, co z satysfakcją podkreślają właśnie polscy liberałowie, nie zaś polscy socjaliści, ani polscy zwolennicy **etatyizmu**, **interwencjonizmu państwowego** itp. Gdy jednak jakaś prywatna firma, dzięki swojemu szczególnemu usytuowaniu, posiada (*de iure* albo *de facto*) tak wielki wpływ (jak w Ameryce FED) na gospodarkę, to ten wpływ jest porównywalny raczej z **interwencjonizmem państwowym**, aniżeli z grą pomiędzy teoretycznie równouprawnionymi podmiotami gospodarczymi.

Być może jednak rację mają obaj ci amerykańscy Polacy: FED ma władzę zbyt wielką, ale 11 września 2008 r. dla gospodarki (przynajmniej amerykańskiej) FED odegrał rolę zbawienną. Również z USA pochodzi wskazówka, jak można unikać tego rodzaju niebezpieczeństw gospodarczych. Chodzi o przywrócenie zasady, że **pieniądz musi mieć pokrycie w kruszcu**. Owszem, waluty i kruszce to również tylko towary, chociaż wyróżnione jako mierniki wartości innych towarów (i usług). Każdy towar podlega prawu podaży i popytu, ale nie ma co liczyć na to, że podaż kruszców istotnie zależy od woli ludzkiej, np. wzrośnie skokowo bardzo znacznie z powodu wzrostu wydobywania, tym bardziej zaś — z powodu przerabiania jednych pierwiastków chemicznych na inne (np. ołowiu na złoto). Dawni alchemicy nie umieli tego, ich XX-wieczni dalecy następcy umieją, jednak ich sposoby są zupełnie nieopłacalne.

Jest jednak pewna różnica między **pieniądem prawdziwym** (naprawdę opartym na kruszczach, jak to było przed I wojną światową) a **pieniądem "fiducyjnym"** (tj. opartym na wierze w skuteczność państwa, ustanawiającego "jedyny prawny środek płatniczy"). Bank emisyjny, obojętnie, czy formalnie podlega rządowi, czy jest prywatny i od rządu niezależny, jest władny dodrukowywać banknoty. Banknoty i jeszcze nowsze odmiany "pieniądza fiducyjnego" (aż do elektronicznych włącznie) są jeszcze bardziej podatne na oszukańcze manipulacje, które streszczają się w słynnym "prawie Kopernika" (mylnie nazywanym "prawem Greshama", chociaż Thomas Gresham był o ok. 46 lat młodszy od Mikołaja Kopernika i choćby dlatego nie mógł go ubiec): pieniądz lepszy jest wypierany przez gorszy. Jednak fałszowanie bilonu (jak np. polskiej waluty — zaobserwowane przez ks. kan. Kopernika u krzyżaków w XV w., a kontynuowane przez ich następców Prusaków w XVIII w.) poprzez zmianę proporcji metali w stopie używanym do ich

wytwarzania to robota mozolna. **O ileż łatwiej fałszo...** — oj, chciałem napisać: **wytwarzać "nawis inflacyjny" — w fiducyjnych środkach płatniczych!** Gdy całość zdeponowanych w banku pieniędzy MUSI mieć pokrycie w złocie, nie ma możliwości, aby bank emisyjny (czyli ten, który byłby zobowiązany do wymiany banknotów na złoto na każde żądanie!) dodrukowywał papierowe pieniądze (= *"niegodziwą mamonę"* wg Jezusowego określenia, Łuk. 16:9) na własną zgubę. A zarazem — nie jest możliwe, aby nawet zmowa wszystkich jego klientów stawiała bank w sytuacji tzw. "braku płynności finansowej", bowiem banknoty w takich warunkach są czymś analogicznym do kwitów depozytowych.

Zapewne przypomniały sobie o tym *"Władze amerykańskiego stanu Indiana"*, które *"wprowadziły możliwość rozliczania się ze skarbcem stanowym w złocie, srebrze i ich elektronicznych odpowiednikach. Jest to pierwszy stan, który przywrócił standard złota i srebra jako środków płatniczych i pierwszy, który w tej kwestii zaczyna postępować legalnie, bowiem przestrzega konstytucji USA."* (Marcin Hugo Kosiński, *"Wraca złoto"*, http://www.korespondent.pl/index.php?x=artykul_r1&id=5817; wiadomość z 19 stycznia 2009 r.). Na dłużej nie da się stosować do amerykańskiej waluty w stanie Indiana zasad odrębnych, niż w pozostałej części USA. Prawdopodobnie, chociaż może nie od razu, konieczność zmusi do powrotu od "pieniądza fiducyjnego" ku pieniądzwowi kruszcowemu — i to nie tylko w USA! — o ile nie chcemy prawdziwej nędzy w miejsce sztucznego bogactwa.

Toruń, 18 marca 2009 r.